

„Wiesz-powiedziała mi rano matka. – Przyszedł Mesjasz. Jest już w Samborze.” Tak napisał Schulz. Czytając te słowa, które przetrwały pierwszą apokalipsę, jaką była wojna, czuł dziwny ucisk w żołądku. Zupełnie jakby Schulz przewidział to, co miało się zdarzyć. Ale przecież to niemożliwe... Skąd taki Schulz, Żyd w dodatku, miał znać plany Chrystusa? Nie dało się jednak zaprzeczyć, że Mesjasz w końcu przyszedł, aby dokończyć dzieła zbawienia ludzkości. Zgodnie z przewidywaniami Schulza wieść rozniosła się, kiedy On był w Samborze.

Przed wszystkim ludzie mieli trochę za złe Jezusowi, że rozwała ich system, tak świetnie opracowany przez pokolenia mądrych polityków. Tyle wojen, tyle traktatów i zmian granic, by jako tako stworzyć skomplikowaną sieć relacji pomiędzy cywilizacjami. Aż pewnego dnia zszedł On i nawet poczęcie dziecka okazało się rzeczą niemożliwą do zrealizowania. Żadne metody typu *in vitro* nie mogły nic zdziałać. Boga tak ciężko oszukać, kiedy nie chce być oszukany! Ale śmierci też nie było, jakby Jezus ten ostatni akcent chciał położyć osobiście, bez przyspieszania i zbędnego chaosu. Jezusowi absolutnie się nie spieszyło. Zabierał ludzi jednego po drugim. My może potrafilibyśmy wziąć ludzi i zwierzęta za synonimy. Ale Jezus nie mógł brać ich tak hurtowo, jak baranki na rzeź, choć właściwie była to rzeź baranków (i wmieszanych między nie wilków), tylko bardzo estetyczna i, siłą rzeczy, przepełniona wartościami. Czasem zabranie jednej wsi stawało się kwestią nawet kilku dni, a przecież Chrystus nie potrzebował odpoczynku, przerwy. Rozmawiał, tłumaczył, tulił i uzdrawiał chorych, pomagając przejść na drugą stronę. Niektórzy sami kierowali się do niego, prosili o jakieś drobnostki, które właściwie nie miały znaczenia w obliczu trwającej apokalipsy. Zdarzały się przypadki, z początku częste, później rzadsze, gdy ludzie prosili o pierwszeństwo w odejściu. Z natury miłosierny Jezus zazwyczaj zgadzał się. Ale po przemyśleniu wszystkie ludzkość uczyniła mu wielki afront. Uciekali przed im, z miejsca na miejsce, choć w końcu i tak ich odnajdywał. Kochali się w sensie zgoła niezwiązanym z uczuciami, bawili się, kradnąc ostatnie chwile, które dawały szansę na intensywne doświadczenie życia. Dni i tygodnie mijały. Jezus miał naprawdę dużo do roboty, a czas dla ciała stanął w miejscu. W tej sytuacji nie wypadało zapomnieć o apokalipsie. Ludzie przyzwyczaili się do zmian w kwestii narodzin i śmierci. Mijały lata. Czasem pojawiała się wieść: „Zabrał Damaszek” albo „Jest w Haikou”. Puste domostwa, osiedla i miasteczka były оголачane z luksusów i sprzętów, jak szczątki przez pracowite owady. A prezydenci i inne ważne osoby zatrudniały tym więcej ochroniarzy, im bliżej był Niepożądany.

Człowiek, o którym pragnę opowiedzieć, nie przejął się zagrożeniem. Cieszył się życiem, jak nigdy przed apokalipsą, choć nie myślał o zbliżającym się końcu. Jakby utracił cel, ale nie utracił środków. Przypominał dziecko wychowane w duchu skrajnego ustroju politycznego, nieznające innego świata. Był idealnym człowiekiem, by wyciągnąć odpowiednie wnioski, naprawić co zepsute, zakończyć życie z klasą. I może właśnie dlatego przyniosło to odwrotny skutek. Nie udźwignął brzemienia odpowiedzialności. Miał przecież dwadzieścia lat. Był dorosły, ale nadal naiwny. Każdego ranka myślał, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Każdego dnia przekonywał się, że nie jest. Każdego wieczoru obiecywał sobie, że zmieni świat na lepsze. Ecce homo w najczystszej postaci.

Jednak pewnego ranka zabrakło mu wiary w to, że wszystko jest w porządku. Przez długi czas leżał w łóżku, starając się wydobyć z ruchomych piasków braku myśli. Pochłaniała go brudna biel sufitu. Odwrócił wzrok. Mimo otwartego okna, z ulicy nie dobiegały żadne dźwięki. To go zaniepokoiło. Jego sypialnia była położona tuż nad targiem, a okrzyki zachęcające do kupna „najlepszej klasy towarów” powinny rozbrzmiewać od świtu jak

budzik. Ubrał się najszybciej, jak mógł. Wyrzał przez okno. Jego oczom ukazał się pusty plac, po którym przechadzał się wychudzony kundel. Mężczyzna wybiegł z domu. Miasteczko wyglądało na opuszczone. Tylko jego okno było otwarte. Na drzwiach sklepów tkwiły tabliczki z napisem: „zamknięte”. Brakowało mieszkańców spieszących się do pracy czy na zakupy. Zaciekawiała go owa niecodzienna sytuacja. Postanowił się rozejrzeć. Wolnym krokiem przemierzał ulice. Czasem dostrzegał w oknach zaniepokojone twarze ludzi, ale po tym krótkim kontakcie wzrokiem szybko cofali się oni w głąb bezpiecznych czterech kątów. Gotów był pomyśleć, że to przed nim ukryło się całe miasto. Ta idea sprawiła, że poczuł się nieco lepiej, niż po przebudzeniu. Doszedł do wniosku, że doszukiwanie się bezsensu w życiu codziennym było marnowaniem czasu, skoro ostatecznie bezsens pojawił się in persona.

Drugiego człowieka spotkał bezpośrednio dopiero dwa kilometry od domu. Na ławce przed drewnianą chatą siedział staruszek. Wyraźnie ucieszył się na widok mężczyzny. Mrugnął okiem jak do kogoś, kto jest wtajemniczony w dowcip. Dał znak mężczyźnie, by usiadł, czego ten jednak nie uczynił.

- O co w tym wszystkim chodzi? Gdzie wszyscy się podziali?

Staruszek zachichotał i mimo sieci zmarszczek na twarzy, przez chwilę przypominał mężczyźnie dziecko. W końcu pokiwał głową i odparł pogodnie:

-Ty jesteś chyba jedynym z przebywających w tym mieście, który nie wie, co tu się w tych dniach stało.

Mężczyzna stłumił wrażenie, że skądś zna te słowa. Zamiast tego przypomniał sobie, że rzeczywiście cały poprzedni dzień spędził w pokoju. Najpierw był zajęty pisaniem ważnego eseju, potem za dużo wypił i w efekcie przespał dużą część dnia i całą noc.

- Nie jesteś najinteligentniejszy, co? – Śmiech staruszka zaczął mu działać na nerwy. – A może to dlatego, że wy, młodzi, do niczego nie przywiązujecie wagi. Jezus w końcu zaszczycił wizytą nasze miasto. Najwyższy czas! Ostatni będą pierwszymi, chłopcze, a prawdę mówiąc, mieszkamy w dziurze, nie? Ludzie się zamknęli w mieszkaniach, widziałeś? Tacy naiwni... Niczego nie nauczyły ich relacje z innych miejsc. Ale pan chyba nie ma zamiaru się zamykać, skoro przechadza się pan po ulicach, gdzie On może pana znaleźć choćby przypadkiem?

-A na co się zamykać!?! – krzyknął przestraszony mężczyzna. – Musimy uciekać do innego miasta! Nie poddawajmy się od razu, kiedy mamy szansę jeszcze pożyć!

-Nic z tego – oznajmił staruszek, jakby tylko czekał na wezwanie do ucieczki. – Poświęcili nas. Ktoś zadzwonił, proszę ja ciebie, do znajomych w innym mieście, rozniosło się i masz, zamknęli nas. Drogi zablokowali, dookoła miasta wystawili milicję i spróbuj się zbliżyć! Łudzą się, że jak On skończy z nami, to go tu zatrzymają. Chciałbym zobaczyć, jak idzie do nich po wodzie, he, he, he!

- No dobrze, ale co pan zamierza?

-Panie, ja już tak długo na niego czekam, że zaczyna mi się nudzić. Gdybym wiedział, gdzie jest w tej chwili, wyszedłbym mu naprzeciw. Co, mam się go bać? Moja Stefcia poznała go już dziesięć lat temu, na pewno zdążyła się za mną wstawić. Dwójkę dzieci pochowaliśmy i ani słówka nie powiedziała przeciwko Niemu, a nawet upominała mnie, kiedy zaczynałem bluźnić. No powiedz pan, czy komuś takiemu odmówiłbyś, gdyby się chciał wstawić za

bliskim? – Spojrzał na mężczyznę z triumfem. – Ale panu to radziłbym do kościoła pójść. Niespokojny jesteś chłopcze, a to zły znak.

Mężczyzna wzruszył ramionami i bez słowa opuścił staruszka. Uznał, że może rzeczywiście powinien odwiedzić świątynię. Dawno tam nie zaglądał. Wiedział, iż ma sporo na sumieniu. Na dalszej drodze nikogo nie spotkał, za to w domu Bożym zgromadziła się grupa mieszkańców miasta. Część z nich modliła się w nawach głównych i zakamarkach przybocznych kaplic. Zewsząd słychać było przeplatające się słowa koronek i odgłosy przesuwanych paciorków różańca. Tę grupę stanowili głównie starsi, dla których modlitwa była czymś zwyczajnym w związku z codzienną praktyką, a jednocześnie niezwykłym pokarmem dla duszy, którym kolejne pokolenia uczyniły wytwory sztuki takie jak teatr czy opera. Niektórzy z młodych wrócili. Czekali w kolejce do konfesjonału, by wykorzystać ostatnią szansę na przeniknięcie do sfery sacrum. A przy ołtarzu stał On. Mężczyzna nie widział Jego twarzy, ale ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że to Mesjasz. Biała szata lśniła. Uniesione dłonie wciąż nosiły ślady po gwoździach. Zdawało się nawet, że od całej Jego postaci biła niezwykła aura.

-Zaprawdę, powiadam wam! Wy, którzy tak żarliwie prosicie teraz Ojca o łaskę, zbliżcie się do mnie bez obawy! Czyż nie czuwaliście, jak wam przykazałem? Podejdźcie, a otrę łzę z waszego policzka, tak jak było to przepowiedziane w Piśmie. Razem udacie się do miejsca, które wam obiecałem.

Jego głos był ciepły. Zdawał się wstrząsać posadami świątyni, a jednocześnie dawał poczucie bezpieczeństwa, jakie odczuwa dziecko, kiedy słyszy uspokajający szept matki. Słowa zawierały wspaniałe obietnice, ale... nie dotyczyły one mężczyzny. Młodzieniec nie czuł. Nie prosił o łaskę. Już dawno zapomniał o prorokach i ich księgach. To nie jego witano. Spuścił głowę i przemknął do bocznej nawy. Stał na końcu kolejki, by w końcu, po tylu latach, stanąć twarzą w twarz z własnym sumieniem. Co jakiś czas przybywali nowi ludzie, również spragnieni łaski. Na niektórych twarzach znać było przerażenie, inne wyrażały bezgraniczną rozpacz, jakby część oczekujących na spowiedź wcale nie wierzyło w odkupienie win i tkwiło w kolejce z braku lepszego wyboru. Jednak nawet ci, w których przemiana dokonała się tak późno, odchodzili od konfesjonału uśmiechnięci i wyciszeni, by dołączyć do grupy, która cicho rozmawiała z Mesjaszem. W pewnym momencie światłość na krótko nappełniła kościół, a ludzie, którzy pojednali się z Jezusem, zniknęli w ciągu paru sekund. Zbawiciel stanął przy ostatnim z oczekujących na rozgrzeszenie i rozpoczął z nim rozmowę, ale nie było słychać, o czym mówią. Wkrótce i on zniknął, choć już nie towarzyszył temu blask. Jezus zbliżył się do kolejnego grzesznika. W ten sposób kolejka zaczęła się zmniejszać z obydwu stron. Mężczyzna przestał się odwracać i wpatrywał uporczywie w kraty konfesjonału, za którymi dostrzegł starego proboszcza. Czas mijał. Ludzi ubywało. W końcu po odbytej spowiedzi zniknęła też kobieta przed nim i przysła kolej na niego. Wtedy poczuł czyjąś rękę na ramieniu. Odwrócił się i ujrzał Mesjasza, którego majestat zdawał się być niemożliwy do pojęcia. Jednak najbardziej martwił go fakt, że nie zdążył.

-Chryste... Czy możesz zabrać mnie za chwilę? Wystarczy mi parę minut – wyszeptał błagalnie.

-Dobrze, moje dziecko. – Jezus uśmiechnął się.

Mężczyzna odetchnął, ale ulga trwała krótko. Mesjasz zabrał księdza.